

ALEKSANDRA BOGACKA-PAJDZIK / skrzypaczka

Talenty muzyczne w mojej rodzinie? Oj, tak! Mój pradziadek grał na skrzypcach, dziadek, Józef, na harmonii i pięknie śpiewał. Nie, nie znał nut grał ze słuchu. Moje dzieciństwo upłynęło w Szczecinie w wielopokoleniowej rodzinie, w jednym dużym mieszkaniu. Dla kuzynki, która bardzo chciała grać na pianinie, kupiono przechodzony instrument. Grała na nim także ciocia. To były takie okazje rodzinnych uroczystości. I podczas jednej z nich siadłam przy pianinie i ze słuchu zagrałam „Dla Elizy” Ludwiga van Beethovena, czym zadziwiłam obecnych. Po tym występie rodzice zapytali, czy chcę iść do szkoły muzycznej. Chciałam ... na fortepian. Tata jednak w pięć minut przekonał mnie, że jednak „chcę” na skrzypce. Nie pamiętam, jakie były argumenty za skrzypcami, ale zadziałały. Przez pierwsze trzy lata grałam odważnie i... strasznie, do czasu, kiedy poznałam Pana profesora Dominika Rutkowskiego. To Człowiek niezwykły i bez wątpienia najważniejsza postać, osobowość w moim życiu. W moim graniu, czuciu Muzyki, umiejętności interpretacji, przekazania emocji. To dzięki Niemu zaczęłam rozumnie i więcej ćwiczyć, wygrywać konkursy. Poświęcał mi mnóstwo czasu. Zwłaszcza przed solowymi występami, konkursami. To On sprawił, że oswoiłam się ze sceną, że gra solo nie sprawiała mi nigdy kłopotu. Występowałam wiele. Zwłaszcza w Szczecinie. W Filharmonii Szczecińskiej, Na Zamku.

Później? Później były studia. Najpierw w Akademii Muzycznej w Bydgoszczy u prof. Pawła Radzińskiego. Pod dwóch latach przeniosłam się do Wrocławia. Tam uczyłam się u Pana Piotra Prysiażnika i adiunkta Wiktora Kuzniecowa. Dyplom to między innymi Koncert D-dur Piotra Czajkowskiego.

Od czwartego roku studiów i rok po nich grałam w Orkiestrze Kameralnej Wrocławski Zespół Solistów RICORDANZA.

Potem, i na prawie trzy lata rozstałam się z Muzyką. Dlaczego? To takie rozczarowanie się realiami muzycznymi. Może to moje niedostosowanie się do rzeczywistości pracy Muzyka, pracy, o którą trudno, o którą trzeba zabiegać. Mierzyć się nie tylko z Muzyką szeroko pojętą, co jest łatwiejsze i do opanowania, ale także z codziennością, wyścigiem. Co jest trudniejsze. No, jakoś tak. W każdym bądź razie instrument leżał w futerale z rzadka wyjmowany, ja pracowałam w biurze, pozyskując dofinansowania na projekty kulturalne oraz organizując różnego rodzaju przedsięwzięcia kulturalne.

Pod koniec 2010 roku miałam (podobnie mój Mąż, Dawid) wiadomość o powstaniu Filharmonii Gorzowskiej, o egzaminach na etaty Muzyków. Kilka miesięcy intensywnych ćwiczeń i udało się. Jestem w orkiestrze od maja 2011 roku.

Jestem elementem czegoś wielkiego, wspólnego spełnienia, wspólnej emanacji emocji – tego, co dzięki nutom, swojej wiedzy, wrażliwości chcemy przekazać. Granie jest „rzeczą” wyjątkową. A artystą się bywa, a nie jest. Lubię grać solo. Wtedy sama odpowiadam za efekt końcowy, w orkiestrze różnie to bywa – czasem mam tremę. Radość daje też granie w zespole kameralnym, jest bardziej odpowiedzialne, a to mi odpowiada.

Wrażliwość, bycie artystą, muzykiem a rzeczywistość? Najważniejsze, by nikt nie podcinał skrzydeł, lepiej czasem nie przeszkadzać niż pomagać osobom utalentowanym, szczególnie na linii profesor-uczeń, dyrygent - orkiestra, itp. Fajnie jest mieć poczucie stabilności, rzetelności, zrozumienia, sympatii – to ważne. Jeśli ma się spokój w sercu, to o ileż wtedy łatwiej na scenie dać siebie.

Hobby? A owszem! Uwielbiam śpiewać, tańczyć. Tańczę salsę. A śpiewałam w liceum na różnorodnych koncertach z koleżankami, kolegami. Muzykę rozrywkową, R'n'B, gospel. Moja idolka? Beyoncé Knowles. Może będzie mi dane kiedyś gdzieś wystąpić? Ostatnio też zaczęłam się uczyć hiszpańskiego, w końcu to język salsy, którą uwielbiam.